

## DO TRZECH RAZY SZTUKA

Wałęsa przez lata odzwierciedlał zbiorowe marzenia: instynktowny sprzeciw wobec ustroju i zarazem automatyczny znak nadziei na podobieństwo amerykańskiego snu powodzenia, siły i urody, jaki uosabiali aktorzy filmowi złotej ery Hollywoodu. Celuloidowe posągi amerykańskiej fabryki marzeń nie stawiały widzom żadnych żądań, rzadko skłaniały do refleksji, jeszcze rzadziej niepokoiły stawianiem prawdziwych pytań, za to ofiarowywały najtańsze ze złudzeń, to mianowicie, jakie wykarmić można wiarą w symbole. Ze swej strony Wałęsa nigdy nie formułował programów, nie wdawał się w zawile rozważania dotyczące ekonomicznych i kulturowych źródeł polskiej nędzy; rozpięty na bramie Stoczni Gdańskiej, później centralna figura stołów przydialnych, wreszcie samotny, odizolowany od kolegów więzień, nieprzekupny mimo intensywnych zalotów reżimu, zapadł w pamięć milionów jako nieugięty znak sprzeciwu wobec zdemaskowanego w swojej słabości komunizmu. Samym swoim istnieniem dostarczał taniego komfortu psychicznego jako symbol, który zapalał światło nadziei nie wymagając w zamian zasadniczego zaangażowania. Gdy z początkiem lat osiemdziesiątych komuna dożywała swoich beztróskich dni i nadchodził czas kwestionowania samych zasad ustroju, fakt istnienia związku zawodowego z charyzmatycznym przywódcą na czele pozwalał na ignorowanie budzących lęk rewindykacji czysto politycznych. Ludzie, którym niezgoda na system kojarzyła się z awanturnictwem, masowo garnęli się do niezależnej organizacji związkowej, dającej złudzenie reformowalności komunizmu. Kiedy zaś ustrój ostatecznie wykazał swą niezdolność do dalszego trwania i ustąpił niemal z dnia na dzień, wówczas legenda „Solidarności” i jej popularnego w świecie szefa ratowały społeczeństwo przed niepokojem w obliczu ujawnionej nagle pustki.

Tym sposobem solidarnościowa demokracja od zarania

stała się zakładnikiem podświadomości narodowej, wykarmionej mitem Wodza na białym koniu. Ten mit sięga u nas czasów Napoleona i całej porobiorowej bezradności. Swój szczyt osiągnął w osobie Piłsudskiego, pod którego przykrawano wizje programowe i konstytucje przez cały okres międzywojennej niepodległości, w przekonaniu że nie mechanizmy, struktury i prawa, lecz osobiste zalety politycznej ikony przyniosą narodowi pomyślność.

Wąłęsa nie był twórcą tego zjawiska, był jego ofiarą. Zakres fenomenu uświadomiłem sobie już jesienią 1980 roku, kiedy korzystając z agiehowskich skrzydeł montowałem ponadzakładową strukturę wyższych szkół. Była to pierwsza z moich trzech prób zainstalowania mechanizmu środowiskowej odpowiedzialności za własne losy.

### *Komisja Porozumiewawcza Nauki „S”*

Sprawa nie była prosta, bo porozumienia branżowe budziły podejrzenia o wyłamywanie się z zasady terytorialności, przyjętej przez „Solidarność” na zjeździe w Gdańsku 17 września 1980 roku. W zasadzie nie powinno tu być żadnego konfliktu, bo porozumienia branżowe stanowiły kuźnię pozytywnego programu Związku, a na dodatek ktoś przecież musiał reprezentować środowisko w gorącym okresie układania się z władzami po sierpniu 1980 roku. Wobec braku krajowego przedstawicielstwa zadanie to przejęły uczelnie Trójmiasta, które na swoim terenie powołały komisję porozumiewawczą już 26 sierpnia. W następnych tygodniach komisja, w praktyce delegaci politechniki gdańskiej z członkiem stocznioowego MKS dr. Gruszeckim, negocjowała z rządem podwyżki płac w szkołach wyższych.

Nie kwestionując dobrej woli Gdańska uważałem jednak, że potrzebna jest jakaś struktura ogólnokrajowa. Na dzień 12 października 1980 roku zatem zaprosiłem kilkudziesięciu przedstawicieli wielkich ośrodków naukowych kraju do Akademii Górniczo-Hutniczej, zapewniając sobie zarazem ideologiczną czapę w postaci Gruszeckiego. Przybył on chętnie na to zebranie, bo szukał poparcia dla delegacji gdańskiej w

rozmowach z rządem. Otrzymał je bez trudu, ale sam nie poparł idei ogólnopolskiej koordynacji, co ochłodziło federacyjne nastroje zaproszonych. Innym problemem było rozbitcie Warszawy, gdzie NSZZ Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty, w skrócie NTiO miało duże wpływy.

Niewątpliwym sukcesem spotkania na AGH było obietnica przedstawicieli tego związku, że przystąpią do MKZ „Mazowsze”, i to w ciągu nadchodzących dni. Położyło to kres formalnemu rozbitciu stołecznego ośrodka, ale w rzeczywistości stołeczne spory pomiędzy politechniką i uniwersytetem długo jeszcze ciążyły na losach porozumienia uczonych.

Na ciąg dalszy umówiliśmy się za tydzień, 19 października w Politechnice Gdańskiej. Przyjechało 156 przedstawicieli 87 instytucji naukowych. Po kilkunastu godzinach obrad przedłużyliśmy Politechnice Gdańskiej upoważnienie do rozmów z rządem w sprawach płacowych oraz przyjęliśmy z drobnymi poprawkami krakowski projekt powołania ogólnopolskiej Komisji Porozumiewawczej Nauki. Ponadto z inicjatywy krakowian podjęto uchwałę w sprawach ogólnospołecznych. Wszystko to jednak nie oznaczało jeszcze ogólnopolskiego porozumienia; uchwała mówiła jedynie, że „istnieje celowość powołania Komisji Porozumiewawczej Nauki w ramach NSZZ Solidarność”. Pozwalało to na tworzenie Komisji Porozumiewawczych w regionach i wybranie delegatów na trzeci zjazd nauki, ponownie w Gdańsku na 26 listopada.

W środowisku krakowskim szybko powołaliśmy Komisję Porozumiewawczą Nauki, obejmującą wszystkie uczelnie, instytuty branżowe i krakowski oddział PAN. Z wyboru delegatów pełniłem w niej funkcję przewodniczącego, a ponadto co dwa tygodnie wydawałem biuletyn. Komisja służyła celom konsultacji i koordynacji kół zakładowych, z oczywistym dla nich pożytkiem. Kiedy po paru miesiącach nabrała wszelkich cech trwałości, zrzekłem się wszystkich swoich funkcji, wywołując pierwsze wahadło demokratycznej zmiany w ponadzakładowych strukturach Małopolski. Komisja przetrwała wszystkie burze; jeszcze w grudniu 2002 zdarzyło mi się gościć na jej posiedzeniu.

W skali kraju natomiast idea instytucjonalna przebiegała się z wielkim trudem, trochę z braku organizacyjnego zaplecza po regionach, a trochę z przywiązania do mistyki politycznej, dla której każda struktura zawsze będzie podejrzana. Wielu przedstawicieli, głównie z północnych regionów, wolało delegaturę przy Wałęsie. Porozumienie ważyło się przez kilka tygodni na niekończących się zjazdach w coraz to innym mieście z jednym tylko punktem porządku obrad – robić, czy nie robić struktury z ustalonym rytmem pracy. Chwilami spór miewał emocjonalne, nedorzeczne tło, co najwyraźniej zapamiętałem w obrazie przedstawicielki uniwersytetu toruńskiego na zjeździe w Łodzi, która płacząc do mikrofonu szczerymi bez wątpienia łzami ryła mi paznokciami bruzdy po twarzy poprzez dzielącą nas dwudziestometrową przestrzeń sali: „Dlaczego ten Kraków tak się rwie do władzy!?”.

Siły zwolenników i przeciwników struktury były dość wyrównane, co bez końca przedłużało obrady. Zawsze któryś z przeciwników miał coś do powiedzenia o potrzebie zaufania do Gdańska, Wałęsy i robotników. Niekiedy udawało się pacyfikować irredentę poprzez energiczną akcję czynnych zwolenników porozumienia, rozstawionych w newralgicznych punktach sali; nieocenione usługi oddali tu profesor Zbigniew Chłap z krakowskiej Akademii Medycznej, młodszy Studnicki z UJ, Olek Labuda z politechniki wrocławskiej i paru jeszcze kolegów obdarzonych niewdzięcznym zadaniem dyskretnego uciszania rozszalałych namiętności na zapleczu. Długo jednak nie można było wyłonić większości.

Wobec stopniowego obumierania sprzeciwów zasadniczych pozostała jeszcze kwestia socjotechniki, nie było bowiem komu przemówić do serca najbardziej nieufnym delegatom. Mógłby to uczynić ktokolwiek z komisji krajowej, do której przed zebraniem pielgrzymowałem z nabożeństwem i najzupełniej bezskutecznie, bo nikogo tam nie znałem. Na dodatek ówczesna miłość uczonych do robotników była uczuciem nieodwzajemnionym, a porozumienie środowiska nauki pachniało czymś pośrednim pomiędzy egoizmem uprzywilejowanych i jawną zdradą zasady terytorialnej.

Było to błędne rozumienie sprawy i próżny opór. Historii i tak nie dało się odwrócić, wielu ludzi chciało tej

struktury i tak czy inaczej doszliby do celu. Delegat krajówki z łatwością mógł być rozładować napięcie, przysparzając przy okazji Komisji Krajowej dodatkowego kredytu politycznego przez wytworzenie precedensu. Z dużą nadzieją zatem przyjąłem przyjazd doradcy Komisji Krajowej Bronisława Geremka na jeden z naszych zjazdów.

Wszelako Geremek nie poparł zwolenników struktury, choć też ich nie potępił, po prostu nie widział żadnego interesu by się angażować w jakikolwiek sposób. Kiedy pod koniec jałowego dnia dopadłem go w kącie sali z usilną prośbą, by zabrał głos, nawet nie otworzył ust, choć i nie odwrócił się od natręta, po prostu milczał, wpatrzony w jakiś punkt przed siebie. To było fenomenalne przeżycie gadania do obrazu, nigdy wcześniej tego nie doświadczyłem: kolega zahaczony w krytycznej chwili nie będzie sobie strzępił języka po próżnicy. Ale to już nie była opozycja, to otwierała się rampa do władzy, gdzie powściągliwość to pierwsza zaleta, zanim się wyklaruje, czy epizod przejdzie w wydarzenie, a petent z Krakowa będzie, czy nie będzie ważny.

Rychło jednak blokadę przełamał łodzianin Kropiwnicki. Jak dotąd angażował się stosunkowo niewiele, co zdejmowało zeń odium partyjności, a do tego miał przenikliwy głos, ułatwiający wzięcie w jasyr otępiały od całodniowej nawałnicy delegatów. Stosunkowo łatwo zapanował nad gwarem i zaprosił najbardziej zawziętych adwersarzy do stoczenia walki w bliskim zwarciu, w sąsiedniej małej salce. Tam uzgodniliśmy kompromis nazwany Ogólnopolską Komisją Porozumiewawczą Nauki, strukturę bez szefa, za to z sekretariatem w Warszawie, rychło przekształconym w Biuro Programowe, i z obiegowym trybem zebrań plenarnych organizowanych w coraz to innym mieście.

Odtąd pozostawiłem sprawę kolegom, bo ten organ, po uporczywych wysiłkach wielu ludzi, wyglądał już dość solidnie. Zajęło mi to kilka miesięcy pracy, kosztem częstych nieobecności w regionie, gdzie tymczasem sytuacja rozwijała się niepokojąco. To jednak już całkiem inna historia, o której w innym miejscu.

## *Komisja Krakowska*

Szefem sekcji informacji małopolskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego zostałem w grudniu 1980 roku i od razu zmierzyłem się z największym problemem MKZ-u, jakim był druk i kolportaż materiałów informacyjnych. Przy oczywistym hamulcu organizacyjnym ze strony władz sprawa uruchomienia własnej drukarni nie była najprostsza i dała się załatwić tylko z największym trudem, a przy tym nie bez częstego uciekania się do pomocy zakładowych kół „S”, zwykle MPK i AGH. Natomiast w kwestii kolportażu liczyć mogłem, jak wszyscy w kraju, tylko na dystrybucję zleconą, drogą i nisko wydajną. Jak w tych warunkach zapewnić szybkie dotarcie do zakładów dużego regionu instrukcji strajkowych, obronnych albo awaryjnych? Nie miałem żadnego pomysłu na pogotowie informacyjne, a przy tym oddanie „Ruchowi” już tylko kolportażu bieżącego, nawet pod kontrolą tamtejszej „S”, uważałem za ryzykowny pomysł.

Tymczasem na przełomie roku 1980 i 81 zgłosił się do małopolskiego MKZ-u niepozorny człowiek z jakimś projektem i przez parę dni błąkał się po naszych lokalach, gdzie nieustannie kłębiło się od ludzi. Nikt z tych, co spławili Śliwińskiego, nie potrafił wyjaśnić, o co mu chodziło. Do mnie nigdy nie trafił, ale jego sylwetka roztargnionego klienta mignęła mi parę razy, kiedy przebiegałem korytarze. Wreszcie Józek Lassota złapał mnie za rękaw: może to ciebie zainteresuje, pan Śliwiński proponuje nam system ABC do przekazywania informacji. Mówi o doświadczeniach AK, o łatwości konspiracji i izolowania w razie potrzeby, o więziach...

Nabrałem głęboko powietrza: z nieba mi spadł.

System Śliwińskiego polegał na kolportażowym pośrednictwie zakładów pracy w układzie trójszczeblowej piramidy, od firm największych, tworzących poziom A, poprzez średnie z poziomu B, aż po najmniejsze z poziomu C. Początkowo projekt się nie przebił z powodu samej swej zasady pośredniego kontaktu z MKZ-em; koledzy czuli nieufność do każdego pośrednictwa, a ponadto nie wierzyli, że poziom B i C takim pośrednictwem się zadowolili. Pewne obawy budziło

też konspiracyjne tło projektu, odwołujące się do doświadczeń AK. Dla mnie zaś, na odwrót, wszystkie te elementy wskazywały na solidność projektu.

Sytuacja taktyczna sprzyjała wszelkiej inicjatywie, bo od samego września 1980 największym biczem na członków MKZ był zarzut o brak gazet i komunikatów, a skarga związkowca na zebraniu, że nie mają informacji z MKZ wywoływała prawdziwą panikę. Na dodatek w tej fazie organizowania się działacze uważali informację i kolportaż za zajęcie tyleż pracowite, co niewdzięczne i najchętniej zapomnieliby o tej sprawie. Gwarantując zatem koniec problemów z dostawami prasy do kół bez trudu uzyskałem zgodę na utworzenie systemu kolportażowego ABC podporządkowanego sekcji informacji.

W szczególności system opracowali Bolesław Śliwiński i jego koledzy z Krakowskiego Biura Projektów Budownictwa Komunalnego. Region podzielony został na 40 jednostek terytorialnych. Dwa razy w tygodniu zakłady poziomu A pobierały w MKZ-cie paczki z prasą i drukami ulotnymi, przekazując wydzieloną część zakładom poziomu B, które ze swej strony oddawały należną część czekającym już wysłanikom z poziomu C. Według naszych ocen rozdział prasy w całym rozległym regionie Małopolska zabierał 6 do 8 godzin. W przypadku zerwania się łańcucha uszkodzone zakłady interweniowały oczko wyżej – poziom C na poziomie A, poziom B w MKZ-cie. W nagłych przypadkach telefon z MKZ do dwóch dowolnych zakładów poziomu A uruchamiał cały mechanizm w ciągu godziny. Informacja i kolportaż to – jak wyczytać możemy w esbeckich raportach zatrudnionego przeze mnie w sekcji informacji... Maleszki – jedyne działy MKZ, które dobrze pracowały.

Utrudniało to grę moim przeciwnikom politycznym. Wydajność informacji była korzystną, i oczywiście nie przypadkową okolicznością dla rozszerzenia zadań systemu ABC, na którym chciałem oprzeć demokrację i obronność Związku w Małopolsce.

System umożliwiał szybką konsultację związkowców w sprawach wielkiej wagi. Przeciwiczyliśmy to po podpisaniu porozumienia pomiędzy „S” i rządem 31 marca 1981.

Porozumienie miało zakończyć stan gotowości strajkowej w całym kraju, lecz jego treść budziła gorące spory. Stawiało to Komisję Krajową w delikatnej sytuacji przed obradami ratyfikacyjnymi. Dla przekonania się, jak ludzie odebrali to porozumienie, przeprowadziliśmy błyskawiczną ankietę i zanim Komisja zasiadła do obrad, wysłaliśmy do Gdańska opinie 44 tysięcy związkowców z dziesięciu pionów Krakowa i trzech z regionu. Nigdy się nie dowiedziałem, czy im się to na co przydało, albo czy sobie życzą takich sondaży.

Kolejną funkcję ABC widziałem w zabezpieczeniu ciągłej pracy Związku. W prasie i kontaktach związkowych zachęcałem do zebrań w pionach, podczas których ludzie mogli dyskutować sprawy własnego terytorium, wyłonić zespół roboczy, albo przesłać do MKZ-tu uzgodnione stanowisko. Piony krakowskie szybko osiągnęły tu przyzwoitą sprawność. Można więc było mieć nadzieję na poprawę pracy organizacyjnej i reformatorskiej w mieście, którego sprawy nie zawsze wymagały obrad regionalnego MKZ. Z inicjatywy Krzysztofa Pakońskiego, którego poparłem całą siłą, powołaliśmy Komisję Krakowską, w skład której wchodziło po dwóch przedstawicieli każdego pionu, to jest przewodniczący zakładu A i przedstawiciel podlegającej mu siatki BC. Komisja była tworem niestatutowym, ale też nie była przez Statut „S” zabroniona. Wobec MKZ-u miała charakter opiniodawczy, natomiast w stosunku do władz i własnych komisji zakładowych mogła postępować, jak chciała, to jest według osiągniętego porozumienia we własnym gronie.

Pomimo, że Komisja nie mogła nic MKZ-owi zrobić, a ponadto niczym zasadniczym nie różniła się od równie niestatutowych delegatur regionalnych, była niestrudzenie tępiona przez przedstawicieli Nowej Huty i regionu, zadowolonych ze swej najzupełniej nieuzasadnionej większości w MKZ. Można się o tym przekonać z okrucichów dyskusji nad tezami programowymi „S” małopolskiej odbytej na zebraniu MKZ-u dnia 18 maja 1981, zamieszczonych w Gońcu z 20 maja:

Nowicki: krytykuje język referatu. Niedopracowana jest rola Sekcji Branżowych, rola ekspertów, za mało podkreślona



działalność socjalna i kulturalna.

Orzeł: wyeksponowana rola pionów ABC, mimo że nie ma ich w statucie.

Sikora A.: krytykuje język tez, jako zbyt skomplikowany. Forsowana jest sprawa pionów ABC. Sikora domniemywa tu prywatne intencje. W tej chwili mówi się o pionach działających w ograniczonym zakresie, ale on obawia się, że za 2-3 lata piony okrzepną w mocne struktury, zagrażające trójszczeblowej strukturze Związku.

Kaczmarek: Nie tyle obawia się, co ma nadzieję, że piony okrzepną w mocną strukturę. W ciągu 2-3 lat wiele się może zdarzyć: przedstawicielstwa związkowe mogą zostać rozbite, albo na odmianę zdegenerować się – i to, co utrzyma Związek, to silne więzi łączące zakłady pracy. Dla ich wytworzenia należy przekazać terytorialnym porozumieniom międzyzakładowym tyle funkcji, ile się da. [...] Należy utrzymać w programie Związku rozbudowę funkcji ABC, jeśli się bowiem ich zakres przeczyta bez emocji, jasne się staje, że nie tworzą struktury władzy, lecz układ roboczy.

Kramarczyk: Zdecydowanie broni koncepcji ABC

Pilch: struktury pośrednie pomiędzy MKZ a zakładami grożą powstaniem władzy pośredniej.

Sikora A.: ABC to bardzo dobry system informacyjny i innych funkcji nie powinien pełnić. Zakłady mogą się grupować według własnej woli, ale nie musi to być w tezach.

Ataki trwały także poza zebraniem MKZ-u, o czym zaświadczy list otwarty Józefa Pilcha, członka Prezydium MKZ i szefa sekcji interwencji tegoż MKZ:

Kwestionuję powołanie Komisji Krakowskiej bowiem stało się to sprzecznie z obowiązującym już wówczas statutem, a do Komisji tej nie włączono takich zakładów, jak „Budostal”, „Społem”, dodaję że największe zakłady jak np. Kombinat HiL, MPK, Montin zdecydowanie nie uznają tego tworu [...]

Kwestionuję sposób i zakres wykorzystywania systemu kolportażowego ABC nie tylko do celów kolportażu, lecz również i przede wszystkim dla realizacji koncepcji indywidualnych działaczy bez uzgodnienia i wiedzy całego Zarządu [...]

Kwestionuję działalność Sekcji Informacji MKZ, która nie przedstawiła Zarządowi MKZ i nie przedstawia rozliczenia finansowego w której wchodzić winna ilość egzemplarzy wydawanego *Gońca*, wszelkie koszty: cena jednego egzemplarza itp. [...]

Wydrukowany w *Gońcu* list Pilcha był tyleż dokume-

ntem pomieszenia i bezradności robotniczego delegata, co nieprzebiegającej w środkach walki politycznej. Wyborna, bo posiadająca pozory słuszności, była sugestia malwersacyjna pod adresem sekcji informacji MKZ, której szef, czyli niżej podpisany, kontrolował kolportaż i był głównym promotorem Komisji Krakowskiej w MKZ-cie. Za najcięższy argument rzeczowy uchodził zarzut o sprzeczność ze statutem „S”, który akurat niczego tu nie zabraniał.

Sprawa ta przysporzyła nam wiele trudnych chwil na obradach, rozwalanych oskarżeniami o osobiste ambicje i próby dominacji, wysuwanymi przez przedstawicieli „regionu” i Nowej Huty pod adresem... mniejszościowego „starego” Krakowa. Jak pisał w *Gońcu* „krakowski” członek ZR Leszek Kuzaj „aby skutecznie sparaliżować obrady Zarządu na kilka godzin, wystarczy wejść na krótko do sali w czasie obrad i zadać pytanie: co to jest Komisja Krakowska? Efekt murowany. Burzliwa dyskusja, która potem nastąpi, skutecznie rozbije ustalony wcześniej porządek. Zaleca się szybkie opuszczenie sali”.

Najpopularniejszym orężem do walki z Komisją Krakowską było pomówienie o manipulację dla zaspokojenia osobistych ambicji. Z cytowanego tekstu Kuzaja: „Powołany przez Komisję Krakowską zespół w celu przygotowania uwag do projektu (ordynacji wyborczej) spotkał się z pytaniami: Kto za tym stoi? Komu na tym zależy? Inicjatywa delegatów jednego z pionów ABC odbycia spotkania z innymi delegatami została odczytana jako oczywisty przypadek manipulacji. Po odbytym spotkaniu, nie wdając się w dyskusję nad jego ustaleniami, przeprowadzono śledztwo, a później, podczas obrad Zarządu – przesłuchanie w celu wykrycia organizatorów – manipulantów”.

Z artykułem Kuzaja sąsiaduje – też manipulacja? – uchwała Komisji Krakowskiej z 15 maja, która przybliżyła styl i zakres pracy KK oraz rysuje ciekawy obraz stosunków w PRL i w „S”:

„Komisja Krakowska, domagając się szybkiego wdrożenia postępowania karnego w sprawie nadużyć popełnionych w Spółdzielczym Domu Handlowym „Jubilat” (WSS Społem), powołuje komisję społeczną złożoną z przedstawicieli zakła-

dów pracy, która przy udziale zorientowanego w materiale dowodowym pracownika sekcji interwencji MKZ: 1) nawiąże jak najszybciej kontakt z KZ NSZZ „S” w Prokuraturze w celu uzyskania opinii na temat formalnych przesłanek takiego postępowania, 2) dopilnuje, aby zebrane dotychczas materiały dowodowe zostały przekazane Prokuraturze, 3) w razie potrzeby podejmie działania w kierunku zapoznania ze sprawą opinii publicznej...”

Pewne wyobrażenie o pracy KK da również porządek jej obrad z 29 maja 1981 roku:

1. Czas pracy placówek handlowych na terenie województwa miejskiego krakowskiego w tygodniu i w dni „wolne od pracy”, referują: Anna Czekańska-Awgulewicz z Rady Narodowej m. Krakowa oraz przedstawiciele Komisji Koordynacyjnej Handlu;

2. Sprawozdanie z pracy zespołu ds. Gospodarki zasobami towarowymi WSS „Społem”, referuje Janusz Lupa z ZUS;

3. Sekcje zawodowe – siła czy słabość Związku, referuje przedstawiciel „Krakbud-u”;

4. Przygotowanie Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Delegatów, referuje przedstawiciel MKZ;

5. Powołanie zespołów roboczych ds. szpitalnictwa oraz rewaloryzacji miasta, gospodarki zasobami mieszkaniowymi i talonami na samochody, referuje Andrzej Wawrzycki;

6. Propozycja powołania funduszu społecznego „Solidarności”, referuje Jerzy Brzozowski;

7. Ustanowienie Krakowa obszarem specjalnie chronionym, referuje przedstawiciel Klubu Ekologicznego;

Zebranie prowadzi Jan Blicharz z KZ Armatur.

Komisja Krakowska zwraca się z prośbą do wszystkich Komisji Zakładowych o zgłaszanie swoich problemów, dla rozwiązania których potrzebna jest pomoc. KK obraduje w każdy piątek w Instytucie Obróbki Skrawaniem, ul. Wrocławska 37A. Początek obrad 15.30. Zebrania są otwarte dla każdego członka naszego Związku.

Andrzej Wawrzycki, sekretarz KK,  
Mieczysław Pieronek przewodniczący KK

Tymczasem o systemie ABC jako o „szansie dla Związku” napisał dwukrotnie Tygodnik Solidarność, potem nasz poznański przyjaciel Andrzej Porawski podjął próbę zainstalowania go u siebie, podobne próby rozważano gdzie indziej,

z umiarkowanym zainteresowaniem. W Krakowie jednak przyszło poświęcić tę ideę dla świętego spokoju, zwłaszcza wobec zbliżającego się regionalnego zjazdu delegatów. Dalsze wspieranie Komisji Krakowskiej przygotowałyby trzydniową pyskowę na tarnowskim zjeździe, powodując nieuleczalne rany i trwałe podziały w jednym z największych regionów „S”. Zjazd został uratowany, lecz za cenę wyhamowania zorganizowanej pracy wielu ludzi, którym należało polecić, żeby siedzieli w domu, bo statut nie przewidywał takiej samorządności. Pozbawiony zachęty i pomocy MKZ-u system ABC stopniowo ewoluował ku swej minimalnej formie działania, to jest dystrybucji prasy i informacji. Do jego inspiracyjnej roli wróciłem w stanie wojennym, opierając nań umiarkowane nadzieje na odrodzenie uderzonego Związku.

### *MKS Kraków*

Niedługo po zamachu Jaruzelskiego powstały regionalne komisje „S” w Gdańsku, na Mazowszu, w Małopolsce i na Dolnym Śląsku i zaczęły wydawać oświadczenia podpisane nazwiskami. W Małopolsce ciągłość władzy związkowej zapewnił w pierwszych dniach stanu wojennego Regionalny Komitet Strajkowy ulokowany w oblężonej Hucie Lenina. Po rozbiciu strajku zaczęły wychodzić *Aktualności*, *Biuletyn Małopolski* i *Serwis Informacyjny*. Oświadczenia regionalnej centrali podpisywano najpierw „Solidarność Małopolska”, a od 8 lutego 1982 – Regionalna Komisja Wykonawcza, która ujawniła swój skład w marcu: Władysław Hardek, Stanisław Handzlik, do których dołączyli Jan Pacuła i Jan Ciesielski.

Pierwszą próbą porozumienia centralnego był Ogólnopolski Komitet Oporu z marca 1982. W kwietniu wydała oświadczenie Tymczasowa Komisja Krajowa w składzie Zbigniew Bujak z Warszawy, Władysław Frasyniuk z Wrocławia, Władysław Hardek z Nowej Huty i Bogdan Lis z Gdańska, którzy u siebie stali na czele własnych komisji regionalnych. Odniosłem wrażenie, że jako symbol ciągłości władz Związku chcieli oni przede wszystkim przetrwać i nie dać się złapać, a swe zadania koordynacyjne pełnili raczej w trybie dyrektyw-

nym. Z czasem wyspecjalizowali się w funkcjach symbolicznych i reprezentacyjnych, największą skuteczność wykazując przy kontroli środków przychodzących z Zachodu i w propagandzie „S” za granicą. Osobiście miałem wrażenie, że lepszy kontakt z nimi miała telewizja francuska, która już w 1983 roku pokazała reportaż z zebrania TKK, niż zakłady mojej struktury, do których nigdy nie trafił najmniejszy zwrot sondaży i opinii, jakie zbieraliśmy przy ważnych okazjach i wysyłaliśmy do Hardka, niekiedy z wyraźną prośbą o przekazanie do TKK. Z tamtej strony spływały do jedynie polecenia strajków, manifestacji ulicznych i bojkotów, natomiast nigdy jakakolwiek reakcja na nasze inicjatywy czy doświadczenia.

Zresztą, nawet we wczesnej fazie społeczeństwa podziemnego, to jest w pierwszych miesiącach 1982 było jasne, że realnej koordynacji oczekiwać należało raczej od tworzących się „od dołu” powiązań międzyzakładowych. Najgłębiej o tym przekonany i mało zainteresowany kwestiami reprezentacji i symboliki, natychmiast po odesłaniu z interny na leczenie, to jest w pierwszych dniach lutego 1983, zabrałem się za odtwarzanie małopolskiej struktury zakładowej w oparciu o system ABC. Byłem w tym czasie jedynym członkiem Prezydium Zarządu Regionu na wierzchu, nieomal na wolności – nawet jeśli mój szpital był na okrągło obstawiony.

Pierwszym, który odważył się mnie odwiedzić w szpitalu na Śniadeckich, był Krzysztof Goerlich z PAN-u. Poprosiłem go o informacje z miasta, przysłanie paru ludzi i o pieniądze, dwadzieścia tysięcy złotych; poszedł do ojca Andrzeja Kłoczowskiego z klasztoru Dominikanów i niezwłocznie mi je przyniósł. Po krótkim czasie przyjmowałem do kilkunastu ludzi dziennie, zbierałem i rozsyłałem informacje, montowałem zebrania na zewnątrz i przygotowywałem wszystkie materiały do dwutygodnika *Kronika Małopolska*, którego założenie w lutym 1982 roku było początkiem mojej działalności w podziemiu. Numery redagowałem sam, później pospołu z Dorotą Stec z byłej sekcji informacji ZR. Za regularny druk i kolportaż odpowiedzialni byli Ksawery Bogacz i Anka Wierzbicka z AGH, drukowali bracia Charkiewiczze z agihowskiego NZS-u, potem studentki medycyny w akademiku

na Grzegrzeckiej. Koszty rozruchu *Kroniki*, na której postanowiłem oprzeć funkcjonowanie przyszłej struktury, pokryte zostały przez dwadzieścia tysięcy od Kłoczowskiego, równowartość dwóch asystenckich pensji. Na wszystkie następne numery, których przez piętnaście miesięcy budowania struktury zakładowej wydałem trzydzieści trzy, i na resztę zadań koordynacyjnych w strukturze pieniędzy dostarczyły krakowskie zakłady pracy, z dużym udziałem AGH. Zdarzały się wpłaty pojedynczych ludzi.

Bardziej niż kiedykolwiek w funkcji redaktora naczelnego, w *Kronice* raczej szedłem śladem wydarzeń, niż je wywoływałem. O charakterze pisma świadczyć miała sama jego nazwa. Nie wierzyłem ani w rozsądek podziemia jako systemu, ani w wiarygodność czerwonych jako partnerów ewentualnej umowy społecznej. Nie miałem też żadnego pomysłu na optymizm, obiecywanie zwycięstwa nie leży w mojej naturze. Zadaniem pisma było zachęcenie do wspólnego urzędowania w sieci zakładów pracy, tak, by uzyskać zgodę wielu na godziwe przeżycie. Na ile można – bez ulicznej zadymy. Było to najbardziej polityczne ze wszystkich moich pism w tym sensie, że jego zadaniem było łączenie i porozumienie. Celem tego porozumienia było budowanie sfer odpowiedzialności zawodowej i obywatelskiej na wierzchu, z uniknięciem oszołomienia wyziewami podziemia i złudzeń porozumienia z komunistami. Nie stało to w sprzeczności z przekonaniem, że społeczeństwo równoległe służyć mogło jako inspiracja i zaplecze niezależnych postaw. O ile ani komunistów, ani nas nie było stać na wojnę, to w zawarciu obie strony mogły trwać lata całe. Przyjęcie takiej perspektywy otwierało drogę do nieskończonej ilości inicjatyw.

Już w numerze czwartym z 15 marca 1982 w atmosferze rozważań – brać, czy nie brać udziału w dyskusji nad „rządowym projektem odrodzenia ruchu związkowego” pisaliśmy – uczestniczyć i dawać świadectwo. Wcześniej pojawiły się sondáže nastrojów w zakładach pracy. W numerze piątym czytamy streszczenie dyskusji w kręgu pracowników Nowej Huty „Po trzech miesiącach wojny”. W kwietniu 1982 *Kronika* podała wyniki ankiety przeprowadzonej wśród około dwustu pracowników krakowskich zakładów pracy.

Zawierała ona trzy pytania: 1) Na jakie kompromisy Związek powinien pójść, 2) Jakimi środkami należy bronić Związku i 3) Jaki wpływ na produkcję i stosunki w pracy ma stan wojenny. W tym czasie rozpoczęliśmy druk „Raportów Wojennych”, przedstawiających sytuację w fabrykach i instytucjach państwowych. W maju, czerwcu i lipcu 1982 przeprowadziliśmy ankietę na temat samorządów. Opierając się o jej wyniki sformułowaliśmy szereg warunków pozwalających na przejmowanie samorządów.

Wnioski te były dalekie od kategorycznego bojkotu głoszonego przez RKW, nawet jeśli zalecenia formułowaliśmy miękko, jakby w obawie przed zwolennikami twardej linii, co na wiosnę 1983 roku wytknął nam akademicki Dzień. Na koniec, dla uniknięcia rozłamu, zamknąłem dyskusję, z wielką szkodą dla zaradności niejednego środowiska zawodowego. Na nowo udało się otworzyć tę dyskusję w zakładach MKS-u dopiero w marcu 1983, o rok za późno w stosunku do czasu, kiedy można było wykorzystać samorząd jako formę walki i edukacji politycznej.

Tymczasem w lipcu 1982 przeprowadziliśmy ankietę na temat strategii Związku. Potwierdziła ona nieprzygotowanie do strajku generalnego oraz pilną konieczność wzmocnienia struktur zakładowych i powiązań między zakładami pracy. Sondaż powtórzyliśmy kilka miesięcy później, z takim samym wynikiem: ponad 95% z kilku tysięcy ankietowanych wypowiedziało się przeciwko strajkowi generalnemu. Dane te przekazałem Hardkowi i Ciesielskiemu z prośbą o przedstawienie ich na zebraniu TKK. Nigdy nie otrzymałem potwierdzenia, ani komentarza w tej sprawie.

W lipcu 1982, w parę dni po zwolnieniu Tadeusza Syryjczyka, drugiego obok mnie członka Prezydium byłego Zarządu Regionu na wierzchu, wysłałem do niego Stecównę, która pełniła u mnie rolę głównego łącznika. Z właściwą dla siebie flegmą przyjął zaproszenie na spotkanie w górach, nie domagając się odpoczynku po półrocznej internie. Do roboty włączył się bez wahania. Był oczywistym człowiekiem, by poprowadzić po mnie całą robotę. Rozumieliśmy się dobrze, a do tego Syryjczyk był świeży, siedząc bowiem przez pół roku nikomu nie podpadł na wierzchu. Miał zatem dobre

szanse na zjednoczenie najważniejszych ugrupowań Małopolski wokół zasad działania krakowskiej struktury zakładowej. Wprowadzałem go we wszystkie tajniki firmy, ale nie eksponowałem za bardzo w obawie, żeby się nie spalił u przedstawicieli huty i regionu, zawsze bardzo wrażliwych na hegemonię: krakowian w ogóle, uczonych w szczególności, a już ludzi Kaczmarka bez wątpienia.

W numerze czternastym *Kroniki* z połowy sierpnia 1982 wydrukowaliśmy zarys programu „sformułowanego przez kilku członków RKW”, jak głosił podtytuł; chodziło o Syryjczyka i Kaczmarka. Główną tezą było przekonanie o braku szans na rychłe odwieszenie Związku i o konieczności nastawienia się na długofalową pracę, tworzenie struktur i programów pozytywnych, raczej niż taktykę częstych demonstracji i rocznicowych strajków.

Z takim programem staliśmy w jawnej sprzeczności z „oficjalną” linią programową RKW, a rozbrat ten coraz bardziej pogłębiał się w następstwie nieścieralnych różnic w stylu pracy. Na zewnątrz działalność RKW przejawiała się głównie w wojowniczych wezwaniach do manifestowania, głoszeniu radykalnych żądań zwrotu skonfiskowanych wolności, natchnionych deklaracjach rocznicowych i adresach do papieża i do Wałęsy.

U nas duże znaczenie przypisywaliśmy jawnym formom działalności społecznej i przedstawicielskiej. Tajne były jedynie spotkania, druk i kolportaż. Wszystkie oświadczenia powstawały na zebraniach z delegatami, a program „kilku członków RKW” wyrastał z doświadczenia codziennej pracy ze związkowcami. W strukturze nie pojawiało się żadne nazwisko, wszystko oparte było na kontaktach ABC, podanych weryfikacji, najczęściej zresztą negatywnej, warunków stanu wojennego. Znaczyło to, że mniej było codziennej zaradności, demokracji i kontrolowanego przedstawicielstwa, za to więcej spontanicznej, incydentalnej ofiarności i cichego poświęcenia, ale też skłonności do pozorowania roboty.

W październiku 1982 TKK i RKW ogłosiły strajk generalny na 10 listopada. W tej sytuacji na 17 października 1982 zwołałem plenarne zebranie struktury w Ostrowsku nad Dunajcem. Przyjechało około dwudziestu ludzi z Krakowa i paru



obserwatorów z regionu. Byłem najgłębiej przekonany o niedorzeczności strajkowych deklaracji Hardka i jego kolegów, lecz nie chciałem wywierać żadnego nacisku na ludzi ze struktury. Po zarysowaniu sytuacji i wyrażeniu mojego poglądu powiedziałem, że pozostawię ich samych tak długo, aż zdecydują czy chcą czy nie przekształcić się w komitet strajkowy, który zajmie się przygotowaniem akcji. Po kilkogodzinnej dyskusji postanowili powołać Międzydzielnicowy Komitet Strajkowy Podgórze, Śródmieście, Grzegórzek i Krowodrzy, zwany też MKS-em Kraków.

Zebranie odbywało się w niewykończonym jeszcze domu ostrowskiego górala gdzie od pomieszkiwałem od paru tygodni, trochę na uboczu wsi, blisko brzegów Dunajca. W pełni obrad zatrzymał się przed domem jakiś samochód osobowy i zaczął nam świecić po oknach, co przy panujących wokół głębokich ciemnościach robiło duże wrażenie. Ogłosiłem ewakuację przez okna z drugiej strony, rozprowadziliśmy ludzi po nadrzecznych krzakach. Po jakimś czasie samochód zgasił światła i odjechał. Odczekałem jeszcze kwadrans i odwołałem alarm.

Zgodnie z przewidywaniami próba strajku generalnego zakończyła się pełną klapą, co przynajmniej pozwoliło na wyjaśnienie sytuacji organizacyjnej w regionie Małopolska. Po doświadczeniach zasadniczej sprzeczności w sprawach samorządów i strajku generalnego nie było żadnej potrzeby pozorowania jedności. Uważałem RKW za ciało wymierające i niezdolne do wykorzystania możliwości struktury, a tym samym dla tej struktury szkodliwe.

Szkodliwość ta przejawiała się przede wszystkim w trwaniu RKW przy zasadzie konspiracyjnej, manifestacyjnej i dyrektywnej, podczas gdy według nas należało szukać wszystkich możliwości zaangażowania jawnego, nawet jeśli z tajnym przygotowaniem, oszczędnie stosować broń ulicznych demonstracji, a wreszcie jak najczęściej poprzedzać działanie badaniem nastrojów społecznych.

Szkodliwa była również fasadowością głoszonej przez nas, a pracowicie przemilczanej przez RKW współpracy. Od początku jej istnienia pomieszczałem w *Kronice* oświadczenia RKW i posyłałem do Hardka opinie z zakładów. W razie

potrzeby delegowałem Dorotę Stec na rozmowy, z których zresztą nic nie wynikało. W obiegu RKW funkcjonowałem pod ksywą „6000” oraz incydentalnie podpisywałem komunikaty „grupa d/s kontaktów zakładowych RKW”. Formule tej podpisujące grono RKW nigdy nie się nie sprzeciwiło, ale też jej nie potwierdziło. Nie podjęło też dyskusji w żadnym z raportowanych przez nas tematów, w szczególności samorządów, strajku generalnego ani przygotowań do długiego okresu delegalizacji.

W tych warunkach powołanie w październiku Międzydzielnicowego Komitetu Strajkowego umożliwiło sformalizowanie rzeczywistych więzi organizacyjnych. 29 grudnia 1982 roku Komitet Strajkowy przekształcił się w Międzydzielnicowy Komitet Solidarności MKS Kraków motywując tę decyzję „koniecznością nastawienia się na długofalową działalność, polegającą na budowaniu i rozwijaniu niezależnego życia społecznego”. Innymi słowy, celów takich nie zabezpieczało istnienie RKW jako regionalnej centrali; tym niemniej, MKS deklarował współpracę z RKW. Dziś przychodzi mi do głowy, że ta lojalność wobec kolegów tradycyjnie wrogich strukturze ABC i nieustanna troska o zachowanie pozorów jedności przyniosła więcej szkód niż korzyści.

Wkrótce potem wzmocniłem kontakty ze Stefanem Jurczakiem z Bochni i Andrzejem Szkaradkiem z Nowego Sącza, którzy mieli spore wpływy na wschodzie regionu. Przedmiotem rozmów było sformalizowanie więzi między zakładami Bochni, Tarnowa i Nowego Sącza pod firmą MKS Małopolska Wschodnia oraz zasady przyszłej współpracy z MKS Kraków. Wyglądali na umiarkowanie przychylnych tym tematom, ale chyba nie byli jeszcze całkiem gotowi, zarówno z braku własnego zaplecza, jak i obaw o reakcję RKW.

W miarę jak utrwały się obyczaje struktury, przyspieszałem swe przygotowania do wyjazdu na Zachód. Firma weszła w okres stabilizacji. Regularnie wychodziła *Kronika Małopolska*. W pracach MKS Kraków brali udział przedstawiciele kilkudziesięciu zakładów pracy, w porywach nawet większej liczby, zorganizowanych na trzech poziomach, z których teoretycznie zakłady poziomu A utrzymywały ze mną kontakt i wysyłały swoich ludzi na zebrania plenarne. W

praktyce delegatami dzielnic i pionów bywali także ludzie z mniejszych zakładów, zresztą nie udało się odtworzyć systemu kontaktów ABC w całości. Informacje, jakie do mnie spływały, służyły do druku w Kronice albo do interwencji. Informacje zbieżne układały się w temat, który mógł wejść na zebranie plenarne. Z czasem staraliśmy się sygnalizować sprawę poprzez tzw. „Uwagi Sekretariatu MKS”, przygotowywane przez szefową łączników Dorotę Stec. Te „Uwagi” stanowiły sygnał dla przedstawicieli załóg, że wkrótce zostaną zaproszeni na zebranie MKS, gdzie trzeba będzie mieć jakieś zdanie na sygnalizowany temat.

Do mojego wyjazdu MKS zajmował stanowisko w sprawach organizacyjnych oraz dotyczących akcji protestacyjnych i rocznicowych, a dalej zasiłków statutowych i chorobowych, grabieży majątku związkowego, aresztowań działaczy, przystępowania do samorządów pracowniczych, pomocy prześladowanym. Pisaliśmy o możliwościach wykorzystywania prawa do potrzeb niezależnych inicjatyw, stale też prowadziliśmy obserwację bojkotu wronich związków, aktów politycznego gwałtu, działań samorządowych i pracy ogniw związkowych poprzez analizę prasy zakładowej. Do rozwoju prasy przywiązywałem wielkie znaczenie, wspierając nie tylko gazety zakładowe, ale i środowiskowe oraz zachęcając do porozumień dzielnicowych i branżowych, co było rzeczą niecodzienną w warunkach tradycyjnej podejrzliwości o „rozbijanie” jedności związkowej wszędzie tam, gdzie tylko ludzie umówili się działać solidarnie w ramach Związku, lecz bez statutowej, wyraźnie określonej inspiracji.

Tymczasem dojrzewający projekt przekazania Syryjczykowi wszystkich moich funkcji nie budził niczyjego sprzeciwu. Kończyłem pracę dość wyczerpany. Na wyraźne pytanie Stecówny odpowiedziałem, że jak wrócę to mnie wołami nie zaciągną do polityki. Szkody z tego tytułu nie zapowiadały się przesadne, bo obaj z Syryjczykiem mieliśmy podobne poglądy na zasady działania struktur zakładowych, wartość otwartego zaangażowania oraz wagę gospodarki i zarządzania. Autorytet Syryjczyka w połączeniu z doświadczeniem Stecówny pozwalały dość spokojnie patrzeć w przyszłość.

Na ostatnim spotkaniu oboje nalegali na wydrukowanie

komunikatu o mojej pracy podziemnej i okolicznościach wyjazdu, który zaniepokoił niektórych członków Związku. Odmówiłem. MKS działał, ciągłość kierownictwa, stylu i programu została zabezpieczona. Reszta się politycznie nie liczyła. Rektor AGH Antoni Kleczkowski uzyskał od czerwonych zapewnienie, że jak wyjdę na wierzch, to przez parę dni dadzą mi spokój na wyjazd. To było wiarygodne, bo mieli w tym wyraźny interes. 5 maja 1983 roku wyleciałem samolotem do Paryża.

A oto w jakich okolicznościach doszło do zjednoczenia regionalnych organizacji „S” w Małopolsce. W czerwcu 1982 roku aresztowano Handzlika, a we wrześniu – Pacułę. W kwietniu 1983 ujawnił się Ciesielski, a w sierpniu złapali Hardka. Było to tuż przed demonstracją, do jakiej wzywało oświadczenie RKW. W parę dni po swym aresztowaniu Hardek wystąpił w DTV i odczytał tekst lojalności wobec władz. Wprawdzie natychmiast pojawiły się „oświadczenia RKW” odcinające się od Hardka i zapowiadające przedstawienie nowego przewodniczącego RKW „w najbliższych dniach”, ale to był bluff: PAN-owscy uczeni i hutnicy z HiL nie mieli żadnego zaplecza na taką okoliczność. W tej sytuacji Tadeusz Syryjczyk (MKS Kraków) i Stefan Jurczak (Małopolska Wschodnia) podjęli rozmowy z działaczami Nowej Huty na temat zjednoczenia.

Trwały one dość długo, ponad sześć tygodni. Hutnicy obawiali się dominacji struktury krakowskiej, lecz z drugiej strony nie mieli ochoty na odrodzenie RKW pod kierunkiem ludzi z otoczenia Hardka, z którymi zresztą nie chcieli zrywać kontaktu. Po wyczerpujących negocjacjach przyjęto z końcem października zasadę czteroosobowego Prezydium reprezentacji regionalnej. W jego skład wchodziło po jednym przedstawicielu MKS Kraków, MKS Małopolski Wschodniej, MKS Nowej Huty i KRH. Syryjczyk zgodził się więc na wygórowane ambicje reprezentacyjne przedstawicieli Nowej Huty, ale zapewne nie miał wyboru. Struktura krakowska znowu znalazła się w mniejszości, co nie mogło wpływać korzystnie na jej skuteczność.

Zgodnie z zasadami struktury zdecydowano nie sprowadzać nikogo do podziemia w celu podpisywania oświadczeń,

natomiast do TKK wyjeżdżać miał utajniony delegat, który z tej racji brał udział w zebraniach Prezydium RKS-u. Kontakt z TKK zapewniała ta sama, co za Hardka ekipa uczonych: „stary” PAN, to jest Zdrada i Laskowski oraz Niewczas z AGH. Zdaniem Syryjczyka, za jego czasów odbyło się kilka zebrań plenarnych, natomiast Prezydium spotykało się co tydzień–dwa. Po dobrym przyjęciu RKS-u w zakładach pracy także ekipa *Serwisu Informacyjnego* (wpływowy przy hardkowym RKW „młody” PAN: Środoń, Łaptaś) – uznała go za regionalną reprezentację, choć zdaniem Zdrady, mieli oni koncepcję „nowej RKW”.

Wszelako – jak pisał mi Syryjczyk – „słabość logistyczna MKS Nowa Huta i MKS Małopolski Wschodniej oraz hermetyczność KRH – co było do przewidzenia – to był koszt operacji. Tak więc ceną likwidacji podziałów, dla wielu ludzi gorszących, były trudności w podejmowaniu decyzji...”.

W szczególności trwał spór o to, czy należy poprzestać na konspiracji, czy też dokonywać jawnej ekspansji gdzie tylko możliwe. Trudno było np. uzyskać poparcie dla zasady jawnego udziału w wyborach do samorządu pracowniczego. Zasada ta sprawdziła się m.in. w Krakowskiej Fabryce Aparatury Pomiarowej, gdzie w wyborach 1983 była lista kandydatów z pieczętą „S” i ta lista wygrała. Odbyło się to po dramatycznej walce, w której demokratycznie wybrani delegaci utracili Radę mianowaną przez dyrekcję kilka miesięcy wcześniej, gdy jeszcze powodzenie miały hasła bojkotu wyborów.

Tego rodzaju zamieszanie i niepotrzebny wysiłek odwracania sytuacji zdarzył się w niejednym zakładzie. W Elbudzie „w wyborach samorządowych, wbrew kierownictwu i wroniarzom, załoga wybrała swoich kandydatów” pisała *Solidarność Podgórze Łęgu, Skawiny i Wieliczki* w numerze 5, ale w numerze 8 doniosła, że wybory na inspektora pracy zostały zbojkotowane. W hucie im. Lenina pomimo braku poparcia KRH, i tak niemal połowę Rady stanowili ludzie „Solidarności”, gotowi do współpracy z prawnikami i ekonomistami. Gdyby KRH poparła wstępowanie do samorządów, „S” stanowiłaby większość w Radzie Pracowniczej HiL. Czy potrafiliby złagodzić ciężki upadek huty w kilka lat później? Nie

ma na to odpowiedzi; natomiast wiadomo, że nie spróbowano tej szansy, z woli samych działaczy KRH i ich doradców, zawsze w pierwszym szeregu walki o czystość Związku.

Wszelako również i MKS Kraków nie miał w sprawie samorządów wyraźnego poglądu. Przeszkodę stanowiło tu przecenianie ryzyka otwartości, zarówno pod względem bezpieczeństwa, jak i moralnego kompromisu, a z drugiej strony niedocenianie złych stron konspiracji, nawet nie tyle ryzyka infiltracji, co kształtowania obyczajów getta.

Kontrowersje wokół samorządów wynikały także z ograniczeń prawnych i kryzysowych, które silnie zmniejszały jego przydatność. Z tym wszystkim samorząd mógł liczyć się w sprawach prawnych i gospodarczych na terenie zakładu, jeśli tylko czegoś chciał. Często jednak zdarzało się, że po wygranych wyborach zainteresowanie samorządem spadało, jakby chodziło o wygraną jednej bitwy. Następowало tu sprzężenie zwrotne pomiędzy milczeniem centrali i brakiem rozeznania niektórych redaktorów prasy regionalnej, którzy idąc po linii najmniejszego oporu puszczali magmę programową, pokrywając własny niedostatek pomysłów rewindykacyjną gorliwością.

Po dwóch latach kierowania MKS Kraków – gdzie formalnie był tylko delegatem do Prezydium RKS – Tadeusz Syryjczyk zrezygnował z tej funkcji i poświęcił się całkowicie współpracy z Mirkiem Dzielskim, która doprowadziła do powstania Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego. Następcą Syryjczyka został Jerzy Zdrada z PAN.

Coś jednak przetrwało. Pozostała *Kronika Małopolska* jako organ RKS, o nieco zmniejszonej częstotliwości ukazania się niż za moich czasów, za to w lepszej niż powielaczowa technice offsetowej. Pozostała zasada podpisywania oświadczeń firmą, a nie nazwiskiem, a wreszcie ślad przychylności dla roboty na wierzchu. Upadła natomiast zasada przedstawicielskich spotkań. W 1989 roku w Paryżu zapytałem Zdradę, dlaczego porzucił obyczaj zebrań plenarnych; odpowiedział, że łącznicy przynosili mu fałszywe informacje, więc on wolał sam odwiedzać organizacje „S”. Nie nalegałem w tym temacie.

Przejęcie MKS Kraków przez Jerzego Zdradę, głównego

doradcę byłego RKW, było krzywym uśmiechem wydarzeń. Miałem o nim opinię uczciwego lecz skrytego i drażliwego działacza kałamarnzowego, wprawionego w pisanie oświadczeń dla byłej RKW, zamkniętego w zaczarowanym kręgu kontaktów z legendarnymi nazwiskami podziemia, co było najlepszą szkołą złudzeń, że wystarczy oświadczyć, by się stało. Z taką formacją duchową znajdował się akurat na antypodach zasad przedstawicielskiej struktury, gdzie naszym ulubionym złudzeniem było raczej przekonanie, że aby się stało, wystarczy uzgodnić z przedstawicielami narodu. W roku 1988 ustąpił on miejsca Stefanowi Jurczakowi.

W końcowym okresie istnienia RKS odżyła sama zasada kolegialności strukturalnej, z delegatami zakładów poziomu A wchodzącymi w skład regionalnej komisji. W oświadczeniu RKS-u kończącym okres podziemia czytamy: „Dla utrzymania bieżących kontaktów ze wszystkimi organizacjami zakładowymi w Regionie, od maja br. zostanie stworzony system „ABC”. Zakłady „A”, mające swych reprezentantów w RKS, będą zobowiązane do organizowania okresowych spotkań konsultacyjnych z zakładami „B” i „C”. Kraków, dnia 19.04.1989 Regionalny Komitet Solidarności Małopolska”

RKS pisał o systemie jakby się zabierał do stworzenia struktury ABC, która dla nieufnych była sprzeczna ze statutem w roku 1981, nieistniejąca w okresie stanu wojennego, a w 1989 roku powstała z powietrza, delegowała do RKS i żyć miała w rytmie spotkań konsultacyjnych z „B” i „C”. Ironią tej historii było późne potwierdzenie ambicjonalnych wymiarów struktury zakładowej, kiedy bowiem okrągły stół otworzył salony władzy dla nowych ludzi, królewską drogą do foteli okazał się RKS.

### *Łabędzi śpiew*

Przed wyborami roku 1989 Stefan Jurczak przyjechał do Paryża, rozmawialiśmy kilka razy. Powiedz, czym się chcesz zająć, mówił, nadszedł nasz czas. Zaproponowałem zorganizowanie obserwatorium bezrobocia, jakiego należało oczekiwać po szykującej się zmianie ustroju. Do tego zadania

chciałem wykorzystać strukturę. Jurczak nie bardzo wiedział, jak potraktować tę propozycję w czasie, gdy raczej mówiono o stanowiskach, ale nie wyraził sprzeciwu. W grudniu wróciłem do Krakowa i parę tygodni później umówiłem się na zebranie jawnego już RKS-u. Przyproceedziłem ze sobą kilkunastu ludzi z różnych poziomów systemu ABC, gotowych do pracy bez wynagrodzenia. Przedstawiłem obecnym projekt: na wszystkich poziomach ABC prowadzona będzie nieustanna obserwacja postępów prywatyzacji i bezrobocia oraz sposobów ratowania zakładów, inicjatyw gospodarczych i planów socjalnych. Zbieranie informacji i konfrontacja poglądów odbywać się będzie na zebraniach pionów, a potem – na spotkaniach plenarnych. Środkiem upowszechnienia i koordynacji będzie *Kronika Małopolska*. Ludzi do pracy mam, na razie za darmo, z czasem uporządkuję formy zatrudnienia i wynagradzania. Potrzebuję *Kroniki*, lokalu i deklaracji RKS-u potwierdzającej tę robotę.

Skończyłem, zapadła cisza. Po krótkiej chwili Jurczak zabrał głos: *Kroniki* nie da, bo to tytuł historyczny, lokalu i innej pomocy też nie, bo Zarząd nie ma pieniędzy, RKS nie poprze tej inicjatywy nawet w zasadzie, bo walka z bezrobociem to sprawa rządu, a nie związku zawodowego.

### *Struktury nie dają pomarzyć*

Możliwość pogodzenia zasadniczej niereformowalności sowieckiego ustroju i działalności NSZZ „S” widziałem w odwróceniu fatalizmu niedokształconych elit, nieporadnych kadr, nawiedzonych inspiratorów i przypadkowych przywódców. Wszyscy oni trzymali za gardło i ostatecznie pograżyli i gospodarkę, i klasę, w których priorytet i przodownictwo być może sami uwierzyli. Jakim sposobem robotnicy mieli zmienić świat? Jeśli elity nie przygotowały jego wizji, albo przynajmniej nie przełożyły jego obrazu na pojęcia zrozumiałe dla ludzi otumanionych bolszewizmem, wówczas wszystko, co robotnicy mogli zrobić, to zamienić jedną szajkę u władzy na drugą.

Wszelako święci nigdzie nie aspirują do władzy i



rozliczanie ustroju z zalet moralnych i zawodowych panujących elit niedaleko prowadzi. Chodzi natomiast o tworzenie instytucji, które inspirowały i umożliwiały pewną kontrolę władzy, ograniczając znaczenie osobistych cech, prywatnych potrzeb i ambicji przywódców.

Rolę taką mogły pełnić struktury, ułatwiając samokształcenie kadr i pozwalając na synchronizację poczynań samorządowych w zakładach, osiedlach i miastach. Od strony rzeczowej wiele by pewno nie zmieniły, bo do tego potrzebne jest raczej skuteczne, niż demokratyczne gospodarowanie – ale zanim zmiana ustroju urealniała by zasadę skuteczności, taktyczne porozumienie demokratów, technokratów i załazków kapitału mogłoby przyuczyć kadry do spojrzenia szerszego, sięgającego poza doraźne, a przy tym w ostatnich latach PRL niepewne korzyści.

Otwierając nowe możliwości publicznej debaty struktury stałyby się wylegarnią pewnych elit, które szukając sposobów zaspokojenia swych ambicji dążyłyby do tworzenia mniej czy więcej formalnych grup i stowarzyszeń. Gdyby były wystarczająco liczne, przenikając się, wspierając i konkurując zarazem, wówczas reżim nie byłby w stanie ich wytrzebić. Tak na miejsce politycznej pustyni mogłaby powstać tkanka życia społecznego, cementu solidnych demokracji. Wspomnijmy na marginesie, że roku 2004 we Francji liczone blisko milion stowarzyszeń.

Trzeba jednak przyznać, że projekt strukturalny w Małopolsce od początku nie miał zbyt wielu szans.

Po części dlatego, że pieniądze leżały gdzie indziej. Wprawdzie MKS-y do końca uczestniczyły w rozdziale środków i darów z Zachodu, dostępnych zwłaszcza dla działaczy i niezależnych elit. Umożliwiały one na przykład wyjazd na kongres, wysłanie dzieci na zagraniczne wakacje, otrzymanie stypendium naukowego albo środków na projekt badawczy, sfinansowanie wolnego teatru czy wydawnictwa. Wszelako niewielu tylko mogło żyć z pracy podziemnej, natomiast ujawniające się bezrobocie zachęcały rosnącą ilość ludzi do handlowania, gospodarowania na wsi albo prostego rzemiosła, a narastający proces przywłaszczania majątku narodowego przez komunistów budził instynkt inwestycji i spekulacji,

nawet jeśli skrzywiony przez potęgę więzi nieformalnych.

Po drugie, przeszkodę w niewdzięcznej działalności przedstawicielskiej stanowił stary polski obyczaj zyskiwania politycznej przychylności nie tyle w konfrontacji programów i osobowości polityków, co w sferze podświadomości społeczeństwa, poprzez najprostszą eksploatację jego marzeń i lęków. W takich warunkach oświadczenie o rychłym zwycięstwie, pokłon papieżowi albo rocznicowa tromtadracja znajdowały więcej zwolenników niż zaangażowanie w sieci uciążliwych i mało skutecznych więzi międzyzakładowych. Nielegalne druki podpisane znanym nazwiskiem ukrywającego się bohatera materializowały ikonę Męża Opatrznościowego, powielacz ułatwił pracę wyobraźni, która trzydzieści lat wcześniej skazana była tylko na szeptaną propagandę o generale Andersie na białym koniu.

Ośłabieniu zasady pracy organicznej sprzyjała też sytuacja psychologiczna ludzi znieważonych, lecz nie bardzo wystraszonych. W stanie wojennym najbardziej jawna mogła być uliczna demonstracja, podniecający przejaw siły ruchu oporu. W tym sensie złotousto opowieści Zdrady podpisywane przez Hardka bliższe były głoszonemu przeze mnie celowi jawności, niż moje regulaminy. Zmaltretowanym ludziom trzeba dać pomarzyć, choćby o zemście jedynie. Przepisy i kodeksy czytać będą tylko pod pistoletem.

Warto wreszcie wspomnieć o ideologicznym zwarcu, w jakim funkcjonowały niestatutowe struktury w małopolskiej „Solidarności”. Wyklinane w jawnym okresie swej działalności, a w stanie wojennym w najlepszym razie pomijane milczeniem w oświadczeniach i w dekretach programowych RKW i TKK, a w komunikacji szeptanej wskazywane niekiedy jako przejaw ambicji politycznych „Kaczmarka i jego grupy” krakowskie struktury wymagały od swych zwolenników podwójnego hartu ducha.

Pomimo jednak, że były one jedynym przejawem mniej więcej spójnej myśli programowej, co wyraźniej potwierdzały policyjne raporty, niż deklaracje podziemia, nie stworzyły skutecznego wzoru organizacji społeczeństwa. Winne tu były także i nasze błędy, pomiędzy którymi wyrzucam sobie zwłaszcza taktyczne uleganie programowej presji RKW i TKK

i podtrzymywanie złudzenia jedności, za cenę osłabienia własnej tożsamości programowej.

Niektórych błędów dałoby się uniknąć, gdyby wewnętrzna opozycja, zarówno z okresu jawnego jak i w podziemiu, była zdolna do wysiłku twórczego. W rzeczywistości jednak była ona programowo nijaka, bezwartościowa. Przeciwnikom struktury brakowało ambicji, umiejętności, namiętności tworzenia, pasji władzy. Wszystko, co chcieli osiągnąć, to usunąć z oczu zagrożenie dla własnej sytuacji polityków wirtualnych, unoszonych przez Historię, lecz jej nie tworzących. Niezdolni do eksplozji woli i umiejętności, nieświadomi tego, że trzeba wszystko zainwestować w projekt tworzenia, jeśli się chce uprawomocnić swe nieoczywiste przewagi, potrafili knuć i krzyżeć, lecz nie przeciwstawili zwalczanej koncepcji własnego projektu. Ożywczą konfrontację zastąpili terrorem poprawności politycznej i szerzeniem politycznego smrodu. W takiej atmosferze żadna idea nie przeżyje.

### *Struktury parafialne*

Po organizacjach pionu nauki, a potem więziach terytorialnych pozostała jeszcze jedna dziedzina, gdzie zasada strukturalna mogła oddać pewne przysługi. Chodzi o społeczne więzi w parafiach, z którymi zetknąłem się latem 1982 roku.

W tym czasie przenieśliem się w rejon Podhala i Tatr, gdzie Piotr Jasiński przygotował mi mieszkania m.in. w Ostrowsku, Łopusznej, Gliczarowie, Białce, Bukowinie, Kościelisku, Jurgowie i na Stasikówce. Górale byli wytrwali i szczodroblivi, oddawali całe domy, zapewniali utrzymanie i cierpliwie znosili najazdy, zebrania i ryzyko. Rok wcześniej wspierałem Solidarność Podhala, Spisza i Orawy poprzez artykuły i wywiady w Gońcu Małopolskim oraz na obradach Zarządu Regionu, gdzie zabiegałem o pieniądze i pomoc organizacyjną dla organizacji Antoła. Teraz mogłem smakować zwrot sytuacji, zresztą pod żadnym względem nieporównywalnej. Przypuszczam, że górale robili to, co zawsze: co chcieli. Dlaczego WRONA miała im dyktować zachowanie?

W stanie wojennym ich wolność objawiała się także pomocą dla byłych internowanych, a w moim przypadku - dyskretnym i skutecznym zabezpieczeniem karuzeli spiskowej przez dziesięć miesięcy.

Rozważając co mógłbym dla nich uczynić, wpadłem na trop napięcia na tle budowy kościoła w Gliczarowie. Niektórzy górale uważali, że proboszcz potrzebuje ich jedynie do roboty i do płacenia, mniej już interesując się ich potrzebami.

Zacząłem odwiedzać podhalańskie i tatrzańskie parafie, starając się nawiązywać rozmowę o udziale wiernych w życiu parafii. Mówiłem, że ignorowanie laikatu jest sprzeczne z zaleceniami krakowskiego synodu biskupów z lat siedemdziesiątych, jeszcze pod przewodnictwem Karola Wojtyły. Wyniki synodu ujęto w trzytomową publikację, w której cały trzeci tom poświęcony był obowiązkowi społecznemu Kościoła, a przy krakowskiej kurii utworzono zespoły robocze dla wspierania zaleceń synodu.

Odwiedzani przeze mnie proboszczowie albo nie znali tych dokumentów, albo nie chcieli ze mną rozmawiać, nie tyle z obawy przed prowokacją, bo byłem dobrze zarekomendowany, co z lęku przed policją, jak sądzę. Wszyscy z tych, którzy jednak podjęli rozmowę, wykazywali głęboką nieufność, a przedstawiany sobie wybór trzeciego tomu ustaleń soboru traktowali jak bibułę, dla której ich kościół nie jest właściwym miejscem. Być może najwięcej obaw budziło domniemanie, że chodzi o ożywienie rad parafialnych w ich funkcji strażnika finansów parafii.

Idea struktur parafialnych, tak jak je pojmowałem, nie wykluczała delikatnego problemu kontroli budżetu, ale nie miało to znaczenia pierwszorzędного, choć zapewne przeznaczeniem tego tematu było wypłynąć w przyszłości, kiedy zacznie brakować pieniędzy. W stanie wojennym szeroka lista możliwych zbliżeń parafian do parafii obejmowała analizę Pisma świętego, myśl religijną, samokształcenie – historia, życie społeczne, problemy rodziny, chóry, sztuka regionalna, recytacje, inscenizacje. A dalej sprawy wspólnoty: inicjatywy gospodarcze, szkolenie rolnicze, porządkowanie otoczenia, remonty kościoła. Pomoc potrzebującym, rozdział paczek z

Zachodu. Kontakt z innymi parafiami, współorganizowanie uroczystości i pielgrzymek.

Optymizm podobnego programu może dziś trochę razić, ale w Polsce lat osiemdziesiątych należało wszystkiego próbować, co zbliżało ludzi we wspólnym wysiłku. Nawet jeśli podobny wysiłek był skazany na niepowodzenie, nikt się z takich prób nie śmiał. Po takich próbach czasem coś zostawało.

W gruncie rzeczy sprawa miała szerszy zakres, niż tylko wojenny. Kardynał Wyszyński pozostawił Kościół zwarty i potężny, okopany przeciw totalitarnemu państwu, ale zarazem znieruchomiły w swych instytucjonalnych pewnikach, wsparty na swym paternalizmie, wykluczający laikat z współdecydowania o doczesnych sprawach parafii i diecezji. Paternalizm Kościoła był naturalną pożywką dla zdziecinienia wiernych i rodził głębokie obustronne frustracje. Pozbawieni czynnego uczestnictwa w życiu Kościoła wierni nauczyli się oczekiwać od niego zbyt wiele i nie tam akurat, gdzie mogli by się czegoś doczekać. Tysiące dłoni ze znakiem V wzniesionych w czasie mszy były objawem nadmiernych oczekiwań w sprawie politycznych wolności, których społeczeństwu Kościół zapewnić przecież nie mógł. Jego posługa mogła dostarczyć moralnego wsparcia do walki gdzie indziej, ale takie wsparcie raczej wtedy jest autentyczne, gdy jest zinterioryzowane, a nie demonstracyjne. W zamyśle struktur parafialnych wpisana była zatem perspektywa normalności polskiego Kościoła, któremu przecież nie na zawsze przypisano funkcję opozycyjną.

Tak czy inaczej, udało się włączyć do ruchu podhalańskich struktur parafialnych trochę ludzi. Jesienią 1982 roku zorganizowaliśmy kilka zebrań wiejskich, a przebieg jednego z nich nagraliśmy na taśmę i przekazaliśmy do Znak i krakowskiej kurii. Ton wypowiedzi można przestawić głosem mojej gospodyni ze Stasikówki, która powiedziała mniej więcej tak: Kościół wznosi budowle z kamienia, ale mogą to być świątynie bez ducha. Jeśli Kościół nie zwróci się ku narodowi, to się naród od niego odwróci. Skądinąd w dalszych wypowiedziach „naród” głosił pełną gotowość do uczestniczenia w życiu Kościoła, zaufanie i wiarę, jakiej ostoją pozostawał on

dla udręczonego społeczeństwa.

Z początkiem 1983 roku kardynał Macharski wyraził ostrożne poparcie dla idei struktur parafialnych, podkreślając jednak jej pułapki. Każda struktura podatna jest na infiltrację i niesie piętno formalizmu. Misja Kościoła spełnia się w odniesieniu do pojedynczej osoby, sferą jego obecności powinien być raczej duch, niż instytucja. Nic dodać, nic ująć, rozmyślałem słuchając sprawozdania łącznika.

Ze swej strony górale wykonali u kardynała na Franciszkańskiej huczną wizytę w strojach regionalnych. Były śpiewy i powitania. Czas był zejść ze sceny.

Kiedy w dziesięć lat później pytałem o struktury parafialne, nikt nie potrafił mi udzielić odpowiedzi. Być może, nie dotarłem do dobrych źródeł. Jeden z kolegów wyjaśnił mi, że o strukturach w ogóle nie myśli, natomiast chodzi do kościoła, bo jest to ostatnie miejsce, gdzie otacza go tłum, który nie jest ani wrogi, ani obojętny.

*Robert KACZMAREK*